



Mirosław Derecki

GDZIE SĄ CHŁOPCY Z TAMTYCH LAT? (2)

„SEX” NAD MORZEM I W „NORZE”

Polska „wczasowa” latem 1957 r. to było Eldorado dla wszelkiego autoramentu „chałturników”. Wprawdzie Estrada kontrolowała tzw. teren, będąc tutaj oficjalnym i głównym dysponentem rozrywki, ale zapotrzebowanie na śmiech i piosenkę było tak wielkie, zaś możliwości kadrowe Estrady tak ograniczone, że lokalne władze w nadmorskich czy górskich miejscowościach witały z otwartymi ramionami każdy „dziki” zespół - byle legitymował się jakimkolwiek papierkiem. Szczególnie poszukiwane były zespoły muzyczne grające „do tańca” i jeżeli dobrało się 3-4 młodych ludzi, którzy jako tako składnie potrafili pociągnąć melodię „Oh, mein Papa”, „Que sera, sera” lub „Ryżowe pola w wodzie mokną” - mogli oni liczyć na sukcesy w każdym domu wczasowym, na jedzenie, picie i parę złotych przez całe długie wakacje.

Jechaliśmy, więc do Międzyzdrojów w sierpniu 1957 r. „w ciemno” i bez grosza przy duszy, ale z wiarą, że „jakoś to będzie” i na chleb oraz papierosy zarobimy.

Zbiórka naszego kabaretu „Sex” wyznaczona została w Warszawie, w Domu Akademickim przy Placu Narutowicza, gdzie mieszkał Waldek Gosk, białostocki kolega Olka Gabrusewicza, który odznaczał się jakoby niezwykłymi zdolnościami organizacyjnymi i miał być naszym impresario. Stąd wyruszyliśmy całą grupą nad morze.

W Międzyzdrojach kłębiło się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy wieczorami aż wyli do jakiegokolwiek rozrywki. (Telewizji jeszcze nie było). Działo jedno kino, było kilka dancingów w restauracjach i kawiarniach ze słynnym „Piekielkiem” na czele, a masową rozrywkę kulturalną starał się w miarę sił zapewnić Zespół Pieśni i Tańca z Lublina pod kierownictwem Wandy Kantorowej, dając wieczorami bezpłatne występy w muszli koncertowej. Zastaliśmy też „konkurencję”: czteroosobowy studencki kabaret ze Szczecina występujący w kawiarni „Orbisu”. Byli „na działówce”, to znaczy kawiarnia udostępniała im gratis estradę, a oni żyli z tego, co wpłynęło za bilety.

Mieli w programie trochę sentymentalnych piosenek, trochę lirycznych wierszy Gałczyńskiego, kilka dowcipnych skeczy i jedną ładną dziewczynę, i to już wówczas wystarczyło żeby spokojnie oczekiwać na sukces. Jakoż istotnie, salę mieli zawsze pełną.

Można sobie wyobrazić, jak w zestawieniu z nimi w atmosferze bez troski i ciągłej zabawy w nadmorskiej miejscowości, mógł się jawić „piwniczny” program „Sexu” przeładowany Witkacym, Jasieńskim, Gombrowiczem czy Białoszewskim, grany przy świecach i „z oczami postawionymi w ślup”. To, co było dobre w odpowiedniej scenerii i w określonym środowisku, stawało się niezrozumiałe, bełkotliwe i budzące sprzeciw w warunkach wczasowych i masowych. Ludzie oczekiwali bez troskiej rozrywki, a proponowano im bardzo specyficzną i bardzo dyskusyjną „rozrywkę” intelektualną.

Pierwszy występ, który Waldek Gosk zorganizował w domu wczasowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, został przyjęty nawet dość ciepło i ze sporą dozą wyrozumiałości. Natomiast wielka impreza zorganizowana przez Waldka w miejscowym kinie pod hasłem: „Francuski film kryminalny oraz - w części drugiej - występy kabaretu „Sex” ze słynnej Lubelskiej Piwnicy” - stała się naszym Waterloo. Trzeba przyznać, że podczas trwania programu widownia zachowywała się bardzo kulturalnie. Nie śmiano się wprawdzie z dowcipów, nie było brawa, ale wydawało się nam, że publiczność „zatchnęło” z wrażenia i że aplauz wybuchnie po finale. Tymczasem, kiedy zapaliły się światła, ława ludzi ruszyła w kierunku sceny z okrzykiem: „Granda, łobuzeria, oddać pieniądze!” Zapamiętałem szpakowatego jegomościa, który wymachiwał jakimiś papierami i krzyczał, że to skandal: on przedwojenny aktor, nie może dostać pracy w teatrze, podczas gdy tacy bezczelnie wyciągają pieniądze z kieszeni uczciwych obywateli...! „Do Tworek, wariatów brodatych!”

Wprawdzie tylko Iwo Wojciechowski, nosił, brodę, ale na wszelki wypadek uciekliśmy z kasą tylnymi drzwiami, pozostawiając kinowych bileterów na pastwę tłumu i więcej już nigdy publicznie nie próbowaliśmy wystąpić w Międzyzdrojach. Daliśmy tylko jeszcze dwa „zamknięte” występy w studenckim domu wczasowym - bodajże nazywał się „Mewa” - i za to, na łaskawym chlebie ZSP i dzięki wstawiennictwu pewnego studenta-grubasa ze szkoły aktorskiej, który nazywał się Włodzimierz Wiszniewski, przeciągnęliśmy jakoś nad morzem, w drewnianej szopie wysłanej sianem, do końca sierpnia. Włodek Wiszniewski wkrótce potem pojawił się w Teatrze Osterwy w Lublinie i tkwi w nim do dziś, a ja, ile razy go zobaczę, przypominam sobie ten dziwny, upalny miesiąc w Międzyzdrojach.

„Sex II” rodził się wczesną jesienią 1957 r. w maleńkim mieszkanku Pawła Czartoryskiego, przy ulicy Szopena, które - pod nieobecność gospodarzy - zajmował Tytus Dzieduszycki. Kłębiła się tutaj bezustannie gromada znajomych i przyjaciół, którzy wpadali do Lublina, żeby załatwić jakieś sprawy, albo przyjeżdżali na egzaminy poprawkowe albo po

prostu nie mieli gdzie spać. Rysownik Jaś Padée, fotografik Tadzio Rolke, Jurek Ludwiński, Anka Ptaszkowska, niejaki „Ferdzia” - bez określonego zawodu - i przynajmniej połowa kabaretu „Sex”, która założyła sobie tutaj bazę noclegową i punkt dożywiania. Tytus marzył o chwili spokoju, bo przez całe wakacje wraz z Włodkiem Borowskim i Mirkiem Komendeckim remontował („dla chleba”) Klub przy Krakowskim Przedmieściu 32, występując w roli tynkarza i malarza pokojowego, ale nie potrafił w sposób zdecydowany zapobiec napływowi „gości”.

Od pewnego czasu pozostawaliśmy pod wrażeniem twórczości Ionesco i Becketta, „odkrywanych” właśnie przez polskich widzów i czytelników. Ogromne wrażenie wywarło na nas przedstawienie „Czekając na Godota” zrealizowane przez warszawski Teatr Współczesny, który przyjechał na gościnne występy do Lublina. O swoim paryskim spotkaniu z Beckettem pisał Julian Rogoziński w „Przekroju”, miesięcznik „Dialog” drukował jego „Końcówkę”, Waldemar Krygier w krakowskim, studenckim Teatrze-38 wystawiał „Godota”, a następnie „Końcówkę” - była to zdaje się światowa prapremiera. Nic dziwnego, że - zapewne nie my jedni - zaczęliśmy masowo pisać sceniczne teksty „pod Becketta”. Poprzez Ionesco dokopaliśmy się do Artauda i jego „Manifestu teatru okrucieństwa”: „Teatr, który podporządkowuje inscenizację samemu tekstowi, jest teatrem wariata, zbrojeńca, gramatyka, episyjera, antypoety i pozytywisty. (...) Teatr ma dać widzowi rzetelną materializację snów...” To, dopiero brzmiało!!! Tytus miał w dodatku swoją koncepcję teatru, w której aktor „staje się głównie elementem plastycznym wpisanym w ukształtowaną przez artystę przestrzeń sceniczną”. W mieszkaniu przy ulicy Szopena powstawały projekty dekoracji i kostiumów, projekty charakteryzacji - bardzo „surrealistycznej” - czytano i dyskutowano nad napisanymi tekstami. Teksty dotyczyły na ogół „niemożności przystosowania się”, „zagubienia w okrutnym świecie” itd., wszystko zaś skąpane było w atmosferze sennego marzenia. Dzisiaj myślę, że było to o tyle naiwne, czy nawet zabawne, że właściwie, mimo „rozdzierania duszy na czworo”, byliśmy grupą ludzi bardzo cieszących się światem i życiem. Ale ulegliśmy bez reszty wpływowi literatury...

Oczywiście, przy nowych założeniach artystycznych, Piwnica na Starym Mieście była nam zupełnie nieprzydatna. „Sex II”, nazywany po staremu kabaretem, przekształcał się w teatrzyk, potrzebujący sceny z odpowiednim wyposażeniem i zapleczem. I oto trafiła się niesłychana okazja: po remoncie Klub Pracowników Kultury przechodził we władanie Związku Zawodowego Pracowników Książki, Prasy i Radia (miał wkrótce przybrać aktualną do dzisiaj nazwę - „Nora”), prezesem nowego zarządu klubu został Witold Wróblewski, a kierownikiem Janusz Danielak. Klub zaoferował nam nie tylko swoją scenę, ale także... dotację pieniężną! Kierownik kabaretu i główny reżyser, Olek Gabrusewicz, podpisał umowę, na mocy której dostawaliśmy miesięczną „pensję”. Jako aktor i asystent reżysera miałem

otrzymywać 600 zł. Nie było to tak mało, zważywszy, że na czwartym roku studiów miałem 430 zł stypendium.

Program nosił tytuł „Cezar i Melisanda” i składał się z szeregu krótkich utworów scenicznych. Wyeliminowano piosenkę, skecz, humor, żart, tak charakterystyczne dla „Sex I”. Zmienił się też nieco skład zespołu. Odeszły Majka Zamoyska i „Fuńka” Jaroszyńska, a na ich miejsce dołączyły - Jola Zarzycka, studentka polonistyki UMCS, popularnie zwana „Maleństwem” - oraz dwie absolwentki historii - Roma Piechówna i Nina Skwarek - „Marilyn”.

Premiera „Cezara i Malisandy” odbyła się w niedzielę, 21 października 1957 r. przy nabitej po brzegi widowni. „Kurier Lubelski” już następnego dnia zamieścił na pierwszej stronie notatkę: „Premiera kabaretu „Sex II” czyli beckettowski „Pozzo”, w której zwracano uwagę na „przefilozofowanie” programu i „beckettowską prozę”, ale stwierdzano, że program jest znacznie lepszy od poprzednich, „piwnicznych”. Od tej pory mieliśmy zapewnioną widownię, ale kto wie czy nie z racji atmosfery skandalu, jaka narastała wokół „Sexu”. Pierwszego listopada Leszek Gzella opublikował w „Kurierze” wielki artykuł: „Poszukiwać to znaczy wiele, ale nie wszystko”. Artykuł zaczynał się tak: „Głośnym echem w życiu kulturalnym Lublina odbiła się premiera kabaretu „Sex II”. Chyba nie było dotąd w Lublinie żadnej sztuki teatralnej, żadnej imprezy miejscowej, która wywołałaby tyle „szumu i hałasu”, co kilku młodych ludzi, prezentujących na występach „Sex II” swój program”. Podobno nawet pisano listy do „Kuriera” w tej sprawie; mieliśmy gorących przeciwników i zwolenników. O dziwo, jednym z naszych zwolenników okazał się... Tadeusz Kosteczki - znany także jako Krystyn T. Wand - autor „Powrotnej drogi Płowego Jima”, „Cienia Wilka” i innych kowbojskich i kryminalnych romansów. Pisał on: „Pragnąłem im wyrazić podziw dla wprost zaskakującego poziomu tekstów i wykonania. Ale jednocześnie podyskutować i może pokłócić się trochę (...)”

„Cezara i Melisandę” graliśmy dziesięć czy dwanaście razy, a przygotowanie nowego programu odłożyliśmy do wiosny. W grudniu pojawiła się w Lublinie szczupła, czarnowłosa dziewczyna uczesana „na topielicę”, o nerwowej twarzy, ciemnych oczach i niskim, „dramatycznym” głosie. Nazywała się Janina Szamotówka, wyszła ze studia teatralnego Byrskich, jakiś czas występowała w objazdowym Teatrze Ziemi Mazowieckiej, a teraz zaangażowała się do teatru objazdowego lubelskiej Estrady, prowadzonego przez Zbigniewa Besserta. Grała Elwirę w „Mężu i żonie” Fredry, pod pseudonimem Joanna Rogowska. Zaczęła też, wraz z Marcelem Novekiem, śpiewać w zespole muzycznym „Siedem czarlich łap” i wtedy stało się dla nas jasne, że Joanna nie na darmo marzy o karierze piosenkarskiej. Miała w przyszłości istotnie zdobyć sławę, jako Joanna Rawik. Joanna hołdowała stylowi

życia „artystyczno-egzystencjalistycznym”, lubiła mówić o Kirkegaardzie, Sartrze i w ogóle o filozofii, co jej zresztą zdaje się pozostało do dzisiaj.

Pod koniec kwietnia 1958 r. zostaliśmy zaproszeni do Zamościa przez tamtejszy Klub Inteligencji i daliśmy składankowy program w kawiarni „Ratuszowa”. Jechaliśmy bez Romy i Niny, które już pracowały, do zespołu dołączyli Ewa Mościbrodzka - studentka historii sztuki, Joanna Rogowska, Robert Rogowski oraz akompaniator, Witek Miszczak, wspólnie pracujący z nami dorywczo jeszcze w czasie Piwnicy. Wieczór był bardzo udany, Joanna śpiewała - przy wielkich brawach - „Kwiecień w Portugalii”, „Mon amor” oraz „Nie wierzę piosence”, a no zakończeniu programu elegancy starsi panowie z zarządu prosili żeby - jak za dawnych dobrych kabaretowych lat! - „artystki przysiadły się do stolików gości”. Którą to ofertę bezapelacyjnie odrzuciliśmy.

I to był ostatni występ kabaretu „Sex”. Okazało się nagle, że Olek musi na gwałt pisać pracę magisterską, Tytus sposobił się do wyjazdu do Paryża, Joanna wyjechała do Szczecina, a Iwo wziął się za odłożoną do szuflady pracę doktorską. Nie było to jednak dla większości z nas pożegnanie ze sceną i teatrem, tylko z pewną „przygodą teatralną”.

„Sex” się rozpadł, ale dał nam bardzo wiele. Nauczyliśmy się w nim samodzielnego myślenia, osobistego spojrzenia na sztukę i nieulegania, w sposób bezwolny, artystycznym autorytetem. Chyba też nie zmarnowaliśmy się, jak nam tyle razy wtedy przepowiadano. Andrzej Tchórzewski pracuje w redakcji „Poezji”, Zbyszek Domarańczyk w Telewizji (pisze również książki o problemach międzynarodowych), Joanna Rawik – wiadomo, Iwo Wojciechowski jest docentem w Akademii Rolniczej, Olek Gabrusewicz pracuje w prasie kieleckiej, Witek Miszczak w lubelskim radio, a Andrzej Żmigrodzki został adwokatem. Tylko Tytusa już nie ma. Osiadły na stałe w Paryżu, realizujący tam swoje pomysły plastyczne, zginął kilka lat temu w wypadku samochodowym.

Pewnego listopadowego wieczoru 1957 r. Janusz Danielak i Anna Markowa zaprowadzili mnie do redakcji „Kamień”, którą wówczas kierowała Maria Bechczyc-Rudnicka. To ona wydrukowała niektóre teksty „Sex II” i to w „szkole” pani Marii niektórzy z nas zaczęli się uczyć dziennikarstwa. Także w „Kamieniu” ukazywała się później wkładka plastyczna „Struktury”, którą redagował Jurek Ludwiński.

Jeżeli zaś chodzi o lubelski teatr studencki, to naprawdę owocny jego okres zaczął się na początku lat sześćdziesiątych, kiedy grupa młodych ludzi, którym przewodził Andrzej Rozhin, założyła „Gong II”.